

Miarą kultury jest stosunek do Innego

25

Z Wacławem Sobaszkiem
rozmawia Alicja Kulik

Co wyróżnia Olsztyn i miejsce, w którym pracujesz, spośród innych?

– To miejsce, Węgałty, nie jest jeszcze miastem, ale temat miejski jest o tyle aktualny, że mamy do czynienia z urbanizacją miejsca, peryferii Olsztyna, tego obszaru, gdzie leżą Węgałty. Urbanizacja wiąże się z szeregiem zjawisk niepokojących, bo nie wygląda na akcję planową. Bardziej na dziką akcję. Po drugie napotyka to na zjawiska, które dzieją się na terenie niemieckim, a które się wiążą z degradacją kultury, społeczeństwa tego obszaru, co jest spowodowane różnymi procesami społecznymi i historycznymi. I tutaj mamy cały szereg kontrastów.

Być może Olsztyn, w porównaniu z obszarem podolsztyńskim, wypada na korzyść. Bo jest to obszar, na którym obserwuje się dość wielkie prosperity. Zwłaszcza, jeśli porówna się to z odwrotnym procesem, który tu ma miejsce, bezrobociem, upadkiem życia codziennego na tym obszarze. Taka sytuacja rzuca cień oczywiście na Olsztyn, on pretenduje do znalezienia się w szeregu wielkich miast, metropolii.

Faktem jest, że dużo się zmieniło. Jak myśmy tu przyszli (Wacław i Erdmute Sobaszkowie – A.K.) i zaczynaliśmy działalność teatralną jeszcze w Olsztynie, w Pracowni Olsztyńskiej, w końcu lat 70-tych, odnosiliśmy wrażenie, że jest to miasto prowincjonalne, że po przyjeździe z Warszawy trafiliśmy na głęboką prowincję. Do miasta urzędników i kolejarzy. Taka była definicja. Cała ta trauma powojenna, ca-

ła pustka myślowa wynikała stąd, że Olsztyn nie miał swojej tożsamości, nie mógł się do niej przyznać. Próbowano zaszczerpić tożsamość przyniesioną skądinąd... Pewien rodzaj polskości z Wileńszczyzny... Usiłowania tego ośrodka pamiętam jako walkę o polskość metodami naukowymi. Było to śmieszne, wręcz groteskowe. A jeśli idzie o życie kulturalne, to było ono bardzo, bardzo ubogie. Przede wszystkim rozpacz kogoś, kto znalazł się w Olsztynie w porze zmierzchu i chciał gdzieś spędzić czas. Wszystko było zamknięte. Były tylko jakieś restauracje i bary mleczne... Na tamtym tle Olsztyn, który dziś wszedł w obieg ogólnopolskiego życia kulturalnego, wypada na pewno na korzyść. Teraz już nie ma kompleksu prowincji. Dziś dzieją się wszędzie rzeczy ważne.

Pozostawiając jednak Olsztyn, zadowolony i samozadowolony, powróciłbym do peryferii, gdzie widzimy ekspansję osiedli podolsztyńskich, no a z drugiej strony obszar o rekordowych notowaniach bezrobocia, obszar postpegeerowskiego regionu Warmii i Mazur. Tak się doświadcza na co dzień awansu miasta Olsztyna. My tymi sprawami – zderzeniami i wszystkimi kontrastami – zajęliśmy się jakiś czas temu, kiedy zaczęliśmy robić festiwal Wioska Teatralna. Towarzystwo nam założyło, żeby eksplorować przestrzeń przyrody, która może być pewną alternatywą dla dziko powstających osiedli, a także, żeby wychodzić naprzeciw problemom ludzi tu mieszkających. Sprawa nierównego dostępu dzieci do edukacji, do kultury. I w ogóle sprawa dzieci, młodzieży. Brak pracy, brak perspektyw zawodowych. Wybawieniem z tak złej sytuacji okazała się, na dobrą sprawę, dopiero fala wyjazdów do Irlandii, Szkocji. Kiedy obserwuje się losy nastolatków z tego środowiska, z którym pracowaliśmy edukacyjnie, to dochodzi się do wniosku, że na początku często wyglądało to beznadziejnie: „Co ja mam ze sobą zrobić? Do jakiej szkoły ja pójdę? Do jakiej pracy? Gdzie mnie zatrudnią? Nie zatrudnicie mnie, to będę kradł!”

W mieście dzieciaki i młodzi mają dużo więcej możliwości niż kiedyś. Różne warsztaty, kluby, propozycje osiedlowe, kursy wschodnich sztuk walki. Potem muzyka – możliwość kształcenia się w muzyce, tańcu takim jak np. breakdance. Pojawiły się różne formy

wychodzące naprzeciw nie tylko środowiskom elitarnym, ale także 29
środowiskom podwórkowym. Takich inicjatyw jest w Olsztynie zdecydowanie więcej. Z kolei w obszarze podolsztyńskim mniej. Oczywiście, jest sposobność dojazdu, możliwości komunikacyjne się powiększyły. Dużo młodych osób może korzystać z tego, co jest w Olsztynie, nie mniej jednak jest wciąż dużo rodzin, dużo ludzi na wsi, którzy nadal, co było zawsze cechą życia wiejskiego, po prostu nie wyjeżdżają dalej niż trzy wioski. Może jest to nieprawdopodobne, ale tak jest. Brakuje więzi społecznych, pojawiła się pustka. Na pewno im dalej centrum olsztyńskiego, tym sytuacja wygląda gorzej.

Czego twoim zdaniem najbardziej brakuje dorosłym, starszym ludziom?

– Mam wrażenie, że brakuje im wszystkiego. Utrata sposobu życia wiejskiego i w to miejsce próby przenoszenia aspiracji miejskich, a właściwie drobnomieszczańskich. A więc jakieś trawniczki i ogrodzenia z segmentów przywiezionych z supermarketów. To jest jakiś sztuczny świat. Wygląda żałośnie. Próba wpasowania się w rzeczywistość, ale w jakimś smutku, bez wewnętrznej satysfakcji, bez tego, co można nazwać rzeczywiście kulturą danej społeczności, danego miejsca.

Jakie znasz imprezy kulturalne w Olsztynie i jak je oceniasz oraz jak oceniasz instytucje organizujące te imprezy?

– Olsztyn nie jest aż tak duży i staram się obserwować wszystko. Niekiedy wypadają puste weekendy, podczas których nic się dzieje, ale zdarza się to coraz rzadziej. Obserwuję proces dyslokacji - instytucje kultury zdały sobie sprawę, że ich jedyną szansą jest pozbyć się własnej cechy, czyli instytucjonalności. I na to trzeba patrzeć zarówno z uznaniem, jak i krytycznie. Wygląda na to, że dużo się zmieniło. Taką propozycją, jak Olsztyńskie Lato Artystyczne, organizowane przez Miejski Ośrodek Kultury bazuje na tym, żeby było dużo porzucanych po różnych miejscach, prezentowanych w różnym czasie i niekoniecznie wielkich propozycji. W Teatrze Jaracza też dużo się robi, żeby tworzyć inną widownię, opartą na zwykłych relacjach mię-

dzy ludźmi – to, co proponuje scena Margines (miejsce dla młodych twórców i formalnych eksperymentów – A.K.), ale też duża scena próbuje wyjść naprzeciw ludziom. Podobnie dzieje się w galeriach. Duża galeria BWA. Tutaj ostatnio była polemika, którą wywołał redaktor pisma „Kulturka”, który twierdzi, że miarą sztuki w tej chwili jest jednak pozbycie się sztampy, porzucenie jej raz na zawsze. Mi się wydaje, że ważny jest fakt, że np. to pismo, „Kulturka”, być może z powodu złego czasu dla innych mediów olsztyńskich, jest chyba najciekawsze. Ono istnieje poprzez miejsca, w których jest wykładane. To puby, małe galerie, kawiarnie je finansują. Więc relacja jest bardzo zwyczajna i to pismo jest niezależne. Chodzi o to, żeby było niesztampowo i żeby rzeczywiście robić coś, co jest niezależne, co wynika z pytań danego czasu, potrzeb, konfliktów, fantazji i wyobraźni ludzi. I żeby umieć pozbyć się obciążenia instytucji. Bo to obciążenie jest jednak dużo bardziej poważne niż nam się wydawało, bo jest powiązanie z polityką i biznesem. Widać bardzo wyraźnie, że te zjawiska w sztuce, które przenoszą jakieś ważne procesy społeczne są właśnie po tej stronie, o której mówię. Więc tak patrzę na olsztyńskie życie kulturalne. Wydaje mi się, że te duże instytucje, po takim okresie, kiedy podjęły próbę demontażu i szukania ludzkiej twarzy, stają teraz przed większą presją i widać, że nie potrafią pozbyć się balastu, który niosą. W innych miastach, w jakichś większych ośrodkach życie środowiskowe, kulturalne jest mocniejsze, lepsze. Ono nie wynika z jakiejś mody, wynika z tego, że ludzie po prostu chcą tak żyć. Szukają takiego sposobu życia, żeby nie tkwić w samotności, żeby była komunikacja na co dzień. Jak spaceruję po Jarotach (Jaroty – jedno z kilku dużych osiedli Olsztyna, „sypialnia” – A.K.) czy innych osiedlach, nawet nie tych najnowszych, to mam wrażenie, że bardzo trudno jest oswoić tę przestrzeń, że wszystkie próby są tu tylko kosmetyczne. Widać mocowanie się i jakąś niemożność Olsztyna.

Jakie sukcesy odniosłeś ostatnio lub jakie sukcesy odniósł teatr?
 – Może takim ważnym punktem jest nagroda Fundacji Polcul z 2007 roku? Punktem na linii dążenia do wyrazistości, do tego, żeby „Węga-

ty” nie były kojarzone z jakimś przyjemnym, ciekawym estetycznie miejscem i otoczeniem. To się wiąże z założycielem Fundacji Polcul – Jerzym Bonieckim. Kiedyś widziałem z nim wywiad w telewizji o jakiejś strasznie późnej godzinie. Mówił, że miarą kultury jest stosunek do Innego. To było na podstawie obserwacji społeczeństwa australijskiego, gdzie udało się wypracować dużo wzorców, które dla nas wydają się jeszcze niedościgłymi zdobyczami społeczeństwa obywatelskiego. Ta nagroda sytuuje naszą pracę w takiej niszy, w której sami chcielibyśmy tę pracę widzieć, mianowicie w przestrzeni lokalnej, z drugiej strony jednak, też bardzo globalnej. Jest jakieś powiązanie między ludźmi, którzy działają w różnych krajach, na świecie, którzy starają się walczyć, jak Don Kichot, o rzeczy trudne do wcielenia w życie.

Zdarzeniem, które subiektywnie odebrałem też jako sukces był udział w Marszu Tolerancji, w Poznaniu. To był moment, kiedy zaczynał się rząd Kaczyńskich. Myśmy wtedy pokazywali *Synczyznę* w Teatrze Ósmego Dnia. I tak się złożyło, że dzień później znaleźliśmy się wśród ludzi popierających ideę tolerancji... I że znaleźliśmy się w konfrontacji z tymi, którzy obrzucali nas jajami i wyzwiskami. I pamiętam, że był taki zaśpiew, recytowana fraza: „wolność, równość, demokracja!, wolność, równość, tolerancja!”.

Bardzo mi to zapadło w pamięć – może to niewiarygodne – ale od strony muzycznej, wokalne. To było piękne. Recytowaliśmy wspólnie, a intonowały feministki, które przygotowały ten marsz. Ścierały się w tamtej przestrzeni dźwiękowej różne frazy, też te z naprzeciwwka. Policja interweniowała i aresztowała ponad sześćdziesięciu uczestników marszu. To wspomnienie i jakaś satysfakcja...

Co Ci najbardziej utrudnia pracę, dlaczego tak się dzieje i co można byłoby zrobić, Twoim zdaniem, żeby nie było takich problemów?

– Niedostatki organizacyjne, techniczne i materialne. Wygląda na to, że np. moglibyśmy zatrudnić więcej młodych osób. Wyjść naprzeciw wolontariuszom, lepiej organizując ich pomoc. To jest to ciekawe zjawisko, w ostatnim czasie mieliśmy bardzo dużo propozycji

współpracy. Przed festiwalem, zgłosiło się kilkadziesiąt osób, które chciały pomagać przy organizacji i prowadzeniu festiwalu. To niebywałe. Kiedyś to my się dobijaliśmy, żeby było parę młodych osób. I tutaj znowu nie nadążamy, nie mamy możliwości stworzenia bazy, żeby ten potencjał wykorzystać. Brakuje wielu rzeczy. Mamy jeden komputer, drugi niesprawny. Aczkolwiek z drugiej strony nie chcemy tej bazy za bardzo rozwijać, nie chcemy obok siebie ustawić dziesięciu komputerów i zrobić dziesięć stanowisk pracy, by w ten sposób rozszerzać działalność. Wartością jest to, że jesteśmy nadal Don Kichotami. Widzimy, że fundusze europejskie, z których moglibyśmy skorzystać, wiążą się nieraz z takim obciążeniem biurokratycznym, że byłyby dużą stratą czasu... Ciągnęłoby to za sobą taki gąszcz problemów, że może lepiej szukać jakichś bezpośrednich, opartych na wyobraźni, na sztuce, sposobów mierzenia się z rzeczywistością. Niekoniecznie przez liczby, przez sumy, ilość. Mamy pomysł, jak wejść w takie mniejsze fundusze europejskie...

Myślę, że przede wszystkim mamy do czynienia z ludźmi i że powinniśmy szukać ludzi, którzy do czegoś dążą. No bo z jednej strony jest coś takiego, jak mainstream, klasa, która jest liczna i zamożna. Z drugiej strony mamy jakieś grupki, garstki ludzi, którzy stanowią społeczeństwo alternatywne. Tak to widzę. Mainstream i społeczeństwo alternatywne złożone z ludzi młodych i starszych, takich, którzy mają już swoje zaplecze, tradycję, kunszt związany z tym, że walczą już dziesiątki lat. Albo realizują uparcie swój sposób życia, który jest odmienny, albo po prostu myślą o tym, co teraz jest ważne, co jest aktualne, co wisi w powietrzu.

Kim są odbiorcy Waszych działań?

– Próbowaliśmy za każdym razem inaczej i na nowo „zderzać”. Żeby nie było tak, że jest tylko jedna grupa, już wyłoniony krąg widowni. Przed każdym przedsięwzięciem zastanawiamy się, jak ściągać, jak zapraszać ludzi. Może coś zmienić? Może docierać do nich inaczej? I tutaj widzę sens, a nawet pewną konieczność – działacz kultury ma obowiązek zastanawiać się nad tym, jak uniknąć odtwarzania. Na przykład bardzo często próbowaliśmy stykać ze sobą ludzi wy-

robionych i niewyrobionych. Takich, którzy są przygotowani, są studentami i jadą nieraz z odległych zakątków kraju, żeby zobaczyć tutaj awangardowy teatr i spotykać ich z ludźmi, którzy sami nie wybraliby się do teatru. To teatr przychodzi do nich; oni nie są jeszcze widownią, oni tutaj mieszkają.

Jak byś zaprojektował idealną instytucję kulturalną?

– Myślę o książce Petera Brooka „Pusta przestrzeń”. Jej podstawowa teza to stwierdzenie, że najlepszy teatr powstaje w garażu, a jak się chce go przenieść do dużego, wygodnego miejsca, to on po prostu umiera. Brook opisuje też przypadki, próby robienia teatru w jakichś nowych eleganckich i wygodnych miejscach. Nieudane próby. I ja myślę, że od tego czasu, jak ta książka się ukazała, pojawiało się kilka pokoleń ludzi, którzy nawet nie muszą znać książki Brooka, ale którzy mają tę skłonność, aby swoją przestrzeń w jakiś nowatorski sposób wykorzystywać. Potrzebna jest wrażliwość organizatorów kultury, którzy powinni wychodzić naprzeciw takim dziwnym, czasami dziwacznym pomysłom ludzi. Tu jest jedyna szansa. Właściwie trudno jest podać jakąś definicję idealnej instytucji kultury. Na przykład w Toruniu powstaje Centrum Sztuki Współczesnej, które jest duże, ogromne, które może będzie polskim Bilbao. Może... Być może architekci, którzy operują taką dużą skalą, mają doświadczenie miejsca, myślą kategoriami prywatnej przestrzeni. Ale ja jednak powracam do tego, żeby zaprojektować to, co jest. Jakiś obiekt, jakieś miejsce, które można zaadaptować. Jest dużo takich przestrzeni.

Mecenasi powinni wspierać tego typu inicjatywy już w pierwszym etapie i powinno się patrzeć, co z tego wynika. Na pewno wówczas kilka takich przestrzeni by zafunkcjonowało i mogłyby być one rozwijane, rozbudowywane. Powinno być więcej podmiotów. Nie tylko pojedynczy obywatel i władza, samorząd. Powinno być więcej wokół, ruch ludzi podobnie działających. Na takim gruncie, takie przestrzenie mogłyby się pojawiać. A kwestia odpłatności... tu znowu nie ma jednego wzoru. Nie sądzę, by ustanawianie ceny biletów na spektakl teatralny na wysokości 100 złotych albo wyżej sprzyjało takiemu procesowi, o którym mówimy. Natomiast powinno być tak, żeby lu-

dzie mieli świadomość, że kupując bilet stają się współgospodarzami tego zdarzenia i tego miejsca. Jedni płacą cenę minimum, inni, jeśli mogą, płacą podwójną, nawet potrójną cenę. W ten sposób oni też jakby uniezależniają dane miejsce od instytucji.

A od odbiorców powinno się wymagać. Co prawda, czasem dobrze coś zafundować, jakąś rzecz dziejącą się w plenerze, gdzie nikt nie wypytuje, czy wszyscy kupili bilety. To też ma jakiś sens.

Uważam, że o kulturze, o sztuce nie można myśleć w oddzieleniu od innych rzeczy. Czyli jak myślimy o tych idealnych miejscach, to powinny to być miejsca, gdzie się układa życie człowieka w mądrzejszy sposób niż tam, gdzie są wielkie supermarkety, centra kultury, rozrywki, gdzie jest stosowany zupełnie inny modus.

Gdzie Twoim zdaniem mieszkańcy miasta spędzają wolny czas?

– To dziwne zjawisko, młodzi, gimnazjaliści, licealiści lubią spędzać wolny czas, po lekcjach, w kuluarach supermarketów. Zaskakujące. Co można w ogóle znaleźć w tak odpychającym miejscu? Ale to fakt, że w niedzielę, w późniejszych godzinach w Alfie, w centrum handlowym, które pretenduje do bycia bardzo nowoczesnym, gdzie wszystko lśni i ma taki glanc, jest bardzo dużo ludzi. Mówiłem już, że kiedyś bieda Olsztyna polegała na tym, że o takiej porze było wszędzie pusto. A tu się okazuje, że teraz ludzie spędzają swój czas w centrum handlowym. W kawiarniach, kinach, takich jak Helios (multi-kino w centrum handlowym Alfa – A.K.). Kilkaset metrów dalej jest Stare Miasto. Może i tam coś się dzieje. Bo tam jest alternatywa. Są w tych pomniejszych miejscach, klubach, kawiarniach, pubach i mają wyższe aspiracje. A tutaj to jest postnowoczesna forma demokratyczna. Nie raz w tych centrach handlu i konsumpcji akcentuje się, że one są dla ludzi, przyciąga się ich niskimi cenami, dostępnością, cechami form wspólnotowych. Są nawet takie szlachetne oferty, jak pomoc dla Afryki. Jakaś firma, która produkuje kosmetyki, robi akcję dla biednych ludzi w Afryce. To jest jakieś dziwne rozdwojenie. To smutne, że trzeba spłacić haracz tym wielkim centrom handlowym i dokonać zakupu, żeby ciekawie spędzić czas, czy nawet kontaktować się z jakimś sprawami z wyższej półki, że ten supermarket jest

miejszem, gdzie doznaje się bycia w świecie, niemal jak na lotnisku. I to jest na pewno jakiś ślepy zaułek, choć może ludzie mają jakąś satysfakcję, że mogą w jakiś sposób wyższe aspiracje realizować, a nie wegetować przed telewizorem. Aczkolwiek wegetowanie przed telewizorem nie jest takim nieszczęściem, jak to było w czasach PRL-u, kiedy mieliśmy dwa programy. Możemy teraz szukać lepszych kanałów. Ten kto jest skazany, żeby korzystać tylko z telewizora, dzięki kabłowce albo satelitarnej może spędzać pożytecznie czas. Wszystko ma teraz wiele różnych perspektyw i społeczeństwo rozwija się w różnych kierunkach równocześnie. Ważny jest plan jednostkowy, indywidualny. Jeśli ktoś jest w Alfie o godzinie 19-ej w niedzielę, to może dlatego, że po prostu wybrał się na jakiś świetny film, albo kupuje w EMPiK-u książkę. Jednak to jakiś wstyd, że tylko pseudodemokratyczny sposób spędzania czasu, jaki daje supermarket, dało się zorganizować, że nie udało się wylansować mniejszych przestrzeni związanych z lokalnością, które łącząc się ze sobą tworzyłyby przestrzeń dużą.

A gdzie bywasz w wolnym czasie?

– W wolnym czasie człowiek powinien dać się zaskakiwać, spotykać nowych ludzi, albo takich którzy przychodzą i robią niespodzianki, wręczają jakieś płyty DVD z ważnymi filmami, czy ciągną nas na jakiś koncert, ważny spektakl. Żeby człowiek nie musiał sam się rozglądać i myśleć, czy tu się udać, czy tam, żeby nie robiło się nudno.

Jakiego człowieka nazwałbyś „człowiekiem kulturalnym”? Jakie cechy powinien mieć taki człowiek?

– Człowiek kulturalny to człowiek otwarty. Otwarty na wszystko. Tutaj wymagania są coraz większe. Nie wystarczy być człowiekiem kulturalnym, który kolekcjonuje jakieś perełki, wspomnienia, że coś widział, zdobył, zgromadził. Chodzi o świadomość swoich granic, o sokratejskie „wiem, że nic nie wiem”. Nie można wszystkiego objąć, ale można się otworzyć na taką możliwość, dążyć do niej. Właściwie takim ideałem jest „człowiek wiedzy” Carlosa Castanedy. To tak naprawdę narzuca obowiązek interesowania się i bycia. Nie bywania,

tylko bycia. Trzeba być ruchliwym.

No, właśnie. Spotykamy ludzi bardziej kulturalnych i mniej kulturalnych. Wtedy, kiedy mam wrażenie, że ktoś jest ciągle w ruchu, to myślę, że może więcej powiedzieć i mieć więcej doświadczeń zapamiętanych. Ale nie zatrzymanych. To też jest sprawa niezamykania się w jakiegokolwiek konwencji, ktoś, kto był kulturalny w r. 2006, może się okazać już nie kulturalnym w 2009. Stracił zainteresowanie, albo się przywiązał do jakiejś konwencji, która wtedy była na topie. Człowiek kulturalny powinien być przewodnikiem. Powinien świecić przykładem tego zainteresowania, które szuka ciągle form.

Co byś określił jako „prawdziwą”, „wartościową” kulturę, a co jako kulturę „fałszywą”, „bezwartościową”?

– Pytanie o prawdziwość jest dobre po próbie myślenia o ruchliwości człowieka kulturalnego. Tu nie chodzi o ruchliwość snoba, który lata po tych różnych miejscach, galeriach, festiwalach albo lata po kontynentach. Chciałoby się, żeby w tej ruchliwości, w tym szukaniu było coś niezgłębionego. Żeby się czuło, że jest w nim coś, co go gna, popycha. Zbyttnia ruchliwość może być niedobra. Czy ludzie za bardzo nie ulegają modzie latania po świecie? Czy to jest moralne, to korzystanie z samolotów, a też i samochodów, które są bynajmniej nie małowartościowe? Bo kiedy widać, jak bardzo wojny uzależnione są od interesów w przemyśle naftowym, kiedy widać, że zbliża się kryzys paliwowy, energetyczny, to czy człowiek kulturalny nie powinien zrezygnować ze swego eleganckiego, błyszczącego, czarnego krążownika szos?

To wygląda na bardzo niedobłą rzecz, moda w Polsce na wypasione samochody. Początki tego zjawiska zostały pokazane w filmie Smarzowskiego „Wesele”, gdzie samochód sprowadzony z Zachodu stał się jakimś świętym przedmiotem, zastąpił coś, co było w rytuale weselnym, prasłowiańskim. Teraz jest jeszcze inaczej, łatwo jest już kupić samochód. Ale głód posiadania jest zaspokajany tak, że się kupuje czarny, błyszczący. Straszne.

Człowiek kulturalny powinien dawać przykład. Nie można lekceważyć tego, co jest zagrożeniem, nie można lekceważyć kryzysu

energetycznego. Trzeba od dziś zacząć próbować coś robić, zacząć żyć inaczej. Ocieplać ściany, wkręcać żarówki energooszczędne. Takie rzeczy z trudem nam przychodzą, ale trzeba to robić. Człowiek kulturalny powinien się zmuszać. Jest masa przykładów z historii, kiedy się nie zmuszano. Można było się nie zmuszać, nie tolerować, bo wszyscy nie tolerowali: odmieńców seksualnych, etnicznych, Żydów. Sytuacja jest dość jasna, człowiek kulturalny musi przyjąć jakieś rozwiązania dla swojego życia.

37

Czy uważasz się za osobę o raczej tradycyjnym nastawieniu do życia, czy raczej nowoczesnym?

– Wszedłem kiedyś w problematykę tradycji, ale potem zacząłem sobie zadawać pytanie, czy nowoczesność nie jest zaniedbana. Może to nie to słowo... Może ponowoczesność, aktualność? No, ale raczej terażniejszość i przyszłość. Bo tradycja to przeszłość. Wygląda na to, że majstrowanie wokół życia codziennego jest wyzwaniem dla człowieka kulturalnego, że nie sposób pominąć żadnego z aspektów *tu i teraz*. Również aspekt przeszłości, czyli tradycji, ciągle będzie ważny, potrzebny. To jest źródło. Doświadczenia nie mogą być tylko dziełem chwili, olśnienia. Nasze doświadczenie zawsze się będzie karmić czymś, co mamy zapamiętane albo co mogą nam przypomnieć starzy. Może oni analogiczne problemy potrafią rozwiązywać lepiej? Może nie powinniśmy negować tej grupy wiekowej? Nie powinniśmy usuwać na margines tych, którzy żyją na wskroś tradycyjnym stylem życia. Niestety jest zaś tradycjonalizm, typ tradycjonalizmu w polityce, konserwatyzm.

A patriotyzm?

Mówi się o lokalnym patriotyzmie. Czemu nie? Patriotyzm lokalny w skojarzeniu bardziej z kosmopolityzmem niż z patriotyzmem, który polega na umiłowaniu ojczyzny. Patriotyzm lokalny jest mi bliższy. Podobnie jak przełamywanie granic i odległości. Cały czas łapiemy się na tym, że bieda w Europie jest dużo ważniejsza, niż w Afryce. Ciągłe pokazywane są obrazy z Afryki, newsy, a mimo to tamta bieda ma mniejszą wartość.

Myśląc o tradycji, myślę o konkretności środowiska. Nie można być kulturalnym człowiekiem bez tradycji, w sensie żywej tradycji, która się manifestuje w naszym życiu codziennym i w naszym otoczeniu. Jeśli ktoś jest na to ślepy i głuchy, to znaczy, że jemu czegoś brakuje. No, ale z kolei przywiązanie do tradycji nie może być zbyt silne. Powinno mu towarzyszyć zainteresowanie typu kosmopolitycznego, które znosi granice i odległości. Tradycja jest kluczem, który może nam pomóc zrozumieć innych, inne społeczeństwo, inną kulturę, inny język.

Czego nie lubisz oglądać w telewizji, w kinie?

– Lubię telewizyjną stację „Al Jazeera English”, bo ta stacja ma dobry serwis informacyjny. Np. przedwczoraj, w trakcie jakichś ważnych wydarzeń politycznych, pojawił się komunikat o możliwości wyeliminowania polskiej drużyny piłkarskiej z rozgrywek UEFA. Ta stacja jest bardzo globalną wioską. Dosłownie. Jeśli w Zimbabwie jest duże napięcie polityczne, no to wtedy jest relacja z jakiejś wioski w tym kraju. Jedni są za, inni są przeciw. Albo, gdy jest konflikt w Strefie Gazy, to oglądam nie tylko jakieś hity medialne, sceny po ataku rakietowym, ale podwórka, ulice. Dziennikarka chodzi po tych zaułkach i rozmawia z ludźmi. Potem Pakistan, Afganistan, ludzie na pograniczu, którzy nie wiedzą, czy są tu, czy tam. Mógłbym jeszcze wymienić inne stacje: Arte, 3Sat, TVP Kultura.

A kino? Tu się dużo zmienia. Przechodzą kolejne fazy. Jeszcze niedawno była wypożyczalnia kaset wideo. Teraz płyty dvd. Może to też się kończy? Zostaną tylko przekazywane, przegrywane płytki. Może zostanie tylko Internet? Jeśli chodzi o to, czego nie lubię, to nawet nie staram się tego zapamiętać. Przelatuję nad takimi jakimiś zjawiskami jak „Taniec z gwiazdami”. Bardzo nie lubię, że próbuje się namówić ludzi do jakiejś zażyłości z gwiazdami. Wykorzystuje się słabość ludzi. To jest coś tak fałszywego!

A muzyka?

– To musi być coś nowego. Tak jak niedawno nowością był dla mnie Arvo Pärt, tak w tym roku szukam uparcie czegoś nowego. Słucham

Strange Sensations. Lubię kanałami internetowymi szukać, MySpace, Youtube. To jest ciekawe, że tam zacierają się gatunki, że medium pozwala słuchać muzyki inaczej, odkrywa nowe przestrzenie słuchania.

Od kiedy mieszkasz w Węgajtach?
– Od 1982 roku.

Czy czujesz się tutaj jak u siebie?

– Trudno powiedzieć... Zwyczajnie się czuję... To miejsce – myślę w szerszym sensie – jest miejscem o tradycji katolicko-protestanckiej. Istnieje jednak taki patriotyzm lokalny, który zaciera to całkowicie. Nawet to, że słowo Warmia zaczęło się oddzielać. Już nie używa się zrostu: Warmia i Mazury. Czy tylko dlatego, że skojarzenie jest komunistyczne, peerelowskie? Mam wrażenie, że gdzieś podskórnie istnieje problem wywyższania się jednych ponad innych. Nie szanuje się pejzażu wspólnoty, tak jak drzew i starych alej.

W jakich miejscach lub sytuacjach, z jakimi ludźmi czujesz się źle, obco?

– Powinienem się źle czuć w supermarkecie, w Alfie, ale nie do końca jest to prawda. Czasem idę tam na dobry film, czy też staram się dobrze poczuć z ludźmi, nawet jeśli wydaje mi się, że oni niepotrzebnie tu się schodzą, uganiania się za jakimiś towarami, że to strata czasu.

Na pewno nie czuję się najlepiej wśród mundurowych, jestem raczej pacyfistą. Jakby to zdefiniować, kiedy czuję się już naprawdę źle? Hm...

Wywiad zamówiony na potrzeby
Kongresu Kultury Polskiej 2009.